

Jeśli nie oszczędności, to co?

2 listopada 2010

Przyzwyczajaliśmy się już do tego, że spośród różnych odpowiedzi na wyzwania ekonomicznego kryzysu Komisja Europejska i europejscy przywódcy poszczególnych krajów wybierają te najgorsze. Być może działanie tej reguły najlepiej widać w przypadku formułowanych naprędce programów redukcji deficytów budżetowych i długów publicznych państw Unii. Któż by się spodziewał, że znajdziemy w nich te same recepty, które doprowadziły do kryzysu? A któż mógłby przypuszczać, że będzie inaczej? Hasło cięć po raz kolejny okazało się niezatapialnym frazesem na wszystkie okazje. Przez 20 lat robiło niezaprzeczalną karierę w gabinetach ministrów finansów i premierów od Londynu i Dublina przez Paryż i Berlin, aż po Warszawę i Tallin, gdy podporządkowywano mu polityki ekonomiczne i społeczne. Dziś przywoływane w Europie „cięcia” mają pomóc nam wydobyć się z tarapatów wywołanych cięciami poprzednich dwóch dekad. W ten sposób wszystko się zmieni, tak żeby wszystko pozostało po staremu.

O ile w latach 90. XX stulecia i pierwszej dekadzie XXI w. zmniejszanie wydatków na cele społeczne w połączeniu z prywatyzacjami, obniżkami podatków dla najbogatszych, zamrożeniem wzrostu płac, obniżkami składowej części wynagrodzeń i deregulacją rynku pracy miało zapewnić dynamiczny wzrost gospodarczy, to obecnie ma... zapewnić dynamiczny wzrost gospodarczy. Oczywiście jest różnica: cięcia, zwane eufemistycznie oszczędnościami mają zdziałać coś jeszcze, a mianowicie przyczynić się do zmniejszenia rosnących deficytów budżetowych i długów publicznych. I nikogo nie obchodzi, że zależność między wzrostem gospodarczym a zmniejszaniem się zadłużenia jest dokładnie odwrotna, tzn. wzrost przyczynia się do zmniejszenia długu (a do wzrostu przyczynia się wzrost płac i wydatków, które stanowią

przeciwieństwo cięć), ale w przeciwną stronę to nie działa. Dlaczego ta podstawowa sprzeczność nie zwraca niczyjej uwagi na salonach władzy w Brukseli, Frankfurtie i w stolicach europejskich? Dlatego, że w całej „cięciowej” histerii nie chodzi wcale o ratowanie gospodarek, ale o ratowanie zysków kapitału, w tym przede wszystkim prywatnego sektora finansowego.

W „grze w cięcia” stawka jest wysoka, a wygrany tylko jeden. Tak jak to było w neoliberalnej erze cięć, jest nim kapitał. To on uniknie odpowiedzialności za kryzys, który wywołał i to on zarobi na cięciach, i prywatyzacjach. Pieniądze niewypłacone pracownikom w formie pensji, składek i usług publicznych odnajdą się przecież na rynkach finansowych... i być może wrócą do złupionych pracowników i niemniej złupionego państwa, tyle, że teraz jako kredyty na procent. Tak to działało przez dwie ostatnie dekady: duszenie wzrostu płac, które odbijało się negatywnie na dynamice popytu wewnętrznego było kompensowane tanim kredytem. Konsumpcję indywidualną, ale także wydatki firm i sektorów publicznych po obu stronach Atlantyku finansowano z zadłużenia. W tej sytuacji sektor finansowy będący beneficjentem cięcia wydatków, podatków i kosztów pracy wyrastał na lokomotywę wzrostu gospodarczego, a rolę perpetuum mobile w tym układzie miały pełnić kolejne banki spekulacyjne.

Właśnie dlatego, jeżeli dziś mówimy o deficytach i zadłużeniu musimy uwzględnić dwa rodzaje ich przyczyn: koniunkturalne i strukturalne. Pierwsze biorą się z ogromnych wydatków, jakie państwa poniosły z tytułu ratowania prywatnych instytucji finansowych w latach 2008-2009 i najsilniej odbiły się na deficytach budżetowych. Warto pamiętać, że jeszcze w roku 2007 suma deficytu budżetowego w UE wynosiła ok. 0,8% PKB Unii. W 2009 r. deficyt ów wzrósł do 6,8%. Drugi rodzaj przyczyn wiąże się z opisanym powyżej systemem niskich płac, podatków i popytu oraz wysokiego zadłużenia, który Paul Krugman nazywa „ekonomią depresji”. Przyczyny strukturalne oddziałują przede

wszystkim na dług publiczny. To dlatego początków wzrostu długu publicznego należy szukać w końcu lat 60. XX w., gdy gospodarka kapitalistyczna wpadła w kryzys rentowności sektorów przemysłowych i akumulacji, a poważnego wzrostu w latach 80. i 90., gdy zaczęły oddziaływać skutki kuracji neoliberalnych zastosowanych w odpowiedzi na kryzys. W roku 1990 dług w państwach dzisiejszego OECD wynosił 57,3%, w 1997 r. już 70,5%, a do roku 2006 wzrósł do 77% ich PKB. Obecnie zbliża się on do 100% PKB a do roku 2014 może osiągnąć 110% PKB [1]. W przypadku kraju takiego jak Francja historia poważnego wzrostu długu zaczyna się wraz z pierwszymi neoliberalnymi działaniami podczas rządów socjalistycznego prezydenta Francois Mitteranda. W roku 1980 dług Francji wynosił 20% PKB, w 2009 r. sięgnął 83% [2].

Problemem są nie tylko przyczyny wzrostu i wysokość zadłużenia, ale także sposób jego finansowania. Wobec wyzbywania się przez państwa źródeł dochodów i finansowej suwerenności rolę tę spełniają inwestorzy operujący na globalnych rynkach finansowych. To oni wykupują państwowe obligacje cechujące się stabilnością i oprocentowaniem większym niż inne papiery dłużne. I tu zaczyna się problem, ponieważ inwestorzy z definicji troszczący się o jak największe zyski w jak najkrótszym terminie nie odmawiają sobie spekulowania na państwowych papierach. Skoordynowany atak na obligacje konkretnego państwa z łatwością prowadzi do gwałtownego wzrostu ich cen, a zatem także do wzrostu kosztów obsługi, które ponosi państwo. Tak właśnie było w przypadku Grecji, która najpierw padła ofiarą spekulantów grających na aprecjację jej długu, a potem dołożyły jej agencje ratingowe, które wskutek wzrostu długu obniżyły ocenę zdolności sektora finansów państwa do jego obsługi – co dolało oliwy do ognia spekulacji – i jeszcze powiększyło dług.

Czy zatem nie ma wyjścia z tego zaklętego kręgu? Oczywiście, że jest, ale z pewnością nie wiedzie ono przez cięcia wydatków i podatków. Te mogą jedynie pogłębić deficyty i długi

publiczne, a przy okazji napędzą kolejną bańkę spekulacyjną, której pęknięcie prawdopodobnie pogrąży światową gospodarkę.

Pierwsze odwołuje się do skuteczności niekoniecznie lewicowego modelu japońskiego. Tokio obciążone 200% długiem radzi sobie z nim dobrze, ponieważ jego finansowanie nie odbywa się na zglobalizowanych rynkach finansowych, ale w krajowym systemie oszczędności, co odsuwa groźbę spekulacji i zapewnia systemowi stabilność. Odwołanie się do rozwiązań japońskich Frederic Lordon nazywa deglobalizacją finansową [3]. Inna propozycja sugeruje konieczność obciążenia prywatnych banków kosztami wykupu papierów dłużnych państwa, co pozwoliłoby na, przynajmniej częściowe, obciążenie kosztami kryzysu tych, którzy do niego doprowadzili. Takie rozwiązania są już zresztą stosowane i wystarczyłoby je zuniwersalizować przynajmniej w ramach UE [4].

Propozycja trzecia i najradykałniejsza sięga do źródeł problemu, a zarazem go demistyfikuje. Po pierwsze wskazuje, że dług i deficyt są konsekwencją podarunków, jakie państwo czyni kapitałowi za sprawą obniżek opodatkowania, ale także deregulacji rynków pracy, prywatyzacji sektora emerytalnego i usług publicznych oraz liberalizacji rynków finansowych. Tym samym, i to po drugie, pozwala się zorientować, że z liczeniem długu przez ekspertów w rodzaju Leszka Balcerowicza coś jest nie tak. W rzeczywistości uprawiają oni rodzaj kreatywnej księgowości, ponieważ w swych rachunkach tego, co państwo jest „winne” konsekwentnie ignorują rubrykę „ma”. Tymczasem dopiero uwzględnienie obu wielkości pozwalałoby na wyliczenie sumy realnego zadłużenia [5].

Okazałoby się wtedy, że państwo nie tylko finansuje swych późniejszych wierzycieli (tnąc podatki i płace), ale też nieustannie inwestuje w nich oferując kapitałowi drogi, sieci komunikacyjne, usługi telekomunikacyjne i energetyczne, wodociągi i kanalizację, systemy prawne, bezpieczeństwo ekologiczne i policyjne, wykształconą i zdrową siłę roboczą. To samo dotyczy indywidualnych obywateli i dlatego jeżeli już

wyliczać ile długu publicznego wypada na głowę mieszkańca od urodzenia, to wypada odjąć od tej sumy wielkość kredytu publicznego stanowiącego rodzaj dziedzictwa, którym się wszyscy możemy cieszyć. Operację taką przeprowadzono we Francji i wyszło, że suma dziedzictwa oferowanego nam przez państwo per capita znacznie przekracza sumę państwowego zadłużenia. Rachunek ten we wszystkich państwach średnio rozwiniętych wygląda podobnie.

Skoro zatem problem deficytu budżetowego i długu zaczyna się wtedy, gdy państwo przestaje pobierać opłaty za swe inwestycje w prywatny kapitał spychając ich koszty na pracowników, nasuwa się jasne rozwiązanie: trzeba te opłaty przywrócić. Natomiast sam dług wyliczony za pomocą fałszywych, ideologicznych założeń trzeba po prostu anulować.

Autor: Przemysław Wielgosz

Źródło: [Le Monde diplomatique](#)

PRZYPISY

[1]

<http://www.obserwatorfinansowy.pl/2010/04/20/swiatu-grozi-eksplozja-dlugu-publicznego/>

[2] W tym czasie wydatki publiczne we Francji wzrosły jedynie o 0,5% PKB, co jaskrawo dowodzi, że to nie one odpowiadają za jego kreowanie.

[3] Frederic Lordon, „Czas zacząć deglobalizację finansową”, Le Monde diplomatique – edycja polska, czerwiec 2010.

[4] Laurent Cordonnier „Czy państwo może zbankrutować?”, Le Monde diplomatique – edycja polska, kwiecień 2010.

[5] Bruno Tinel, Franck Van de Velde „Jak sektor prywatny tworzy dług publiczny”, Le Monde diplomatique – edycja polska, lipiec 2008. Patrz także Alain Bihr, Nowomowa neoliberalna, Książka i Prasa, Warszawa 2008, rozdz. „Dług publiczny”.